Nr. 27. We Lwowie, Poniedziałek dnia 7. lipca 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kolebka zbytku.

W położeniu, jak z bajki, ponad zatoką Tarentyńską u ujścia Kratisu, w pobliżu dzisiejszego Terra Nuova, królowała przed wiekami potężna wśród miast „Wielkiej Grecji", Sybaris. W r. 720-ym przed Chrystusem lokrydzi, wsółrodacy Ajaksa, założyli tu kolonję, a jak wszystkie osady greckie, i Sybaris, wypełniona ożywczym tchem ojczystego kraiku, rozrosła się wkrótce nad podziw. W 100 lat niemal po założeniu liczyła już 300,000 mieszkańców, a obwodu 50 stadjów (9 kilom.). Panowała przez czas jakiś wyłącznie. O bogactwach osady cuda opowiadają. Wiadomo przecie, co znaczy „sybaryta". Podczas uroczystych, z religijnemi świętami połączonych obchodów, występowało tu 5,000 jeźdźców, lśniących od złota i purpury. Ateny same w czasie najwyższego rozkwitu czwartą częścią zaledwie tej ilości rycerzy poszczycić się mogły. Spławne kanały łączyły miasto z morzem, a urodzajność otaczających je pól tak była wielka, że, wedle słów Strabona, jęczmień przynosił tu setny plon. Ogromne zyski ciągnęli sybaryci ze związków handlowych z ziemią macierzystą, a lasy z gór Sila już wówczas słynęły jako pierwszorzędny do zbijania galer budulec. Oprócz tego posiadali w pobliżu kopalnie srebra, których eksploatacja ustała dopiero w XVI-ym wieku, od chwili, gdy Ameryka europejskie rynki zalewać zaczęła szlachetnym kruszcem.

Dwadzieścia pięć miast, już to na pobrzeżu jońskiem, już to na przeciwległych stokach morskich, uznawało hegemonję Sybaris. Na bajkę niemal zakrawa, że bogata osada do 300,000 ludzi była w stanie wyprowadzić w pole. Jak wszędzie jednak, tak i tu, zbytek powodzenia i bez miary nagromadzone bogactwa sprowadziły osłabienie ducha i zniewieściałość, wiodące zawsze prostą drogą do upadku.

Zbytki Sybaris przechodziły najśmielsze marzenia. Kto w mieście tem na poważanie współobywateli zasłużyć pragnął, odziewać się musiał głośną wówczas na pobrzeżach Śródziemnego morza tkaniną lnianą, wyrabianą w Azji Mniejszej. Do dziś dnia przechował się opis świątecznego stroju bogacza Alkistenesa, w Azji Mniejszej obstalowanego, a przeznaczonego na czas uroczystych procesyj. Pokryty był kosztownym haftem, wyobrażeniami świętych, zwierząt najrozmaitszych, ludów i całą plejadą bóstw. Za strój ten zapłacono bajeczną cenę, bo równającą się 2 milj. fr.

Do spraw pierwszorzędnego znaczenia w życiu publicznem sybarytów należały uczty w czasie świąt religijnych. Prawo stanowiło, aby obywateli, z najwspanialszem występujących przyjęciem, złotemi w nagrodę wieńczono koronami. I kucharzy, którzy się przy tej sposobności odznaczali, sowicie obdarowywano. Obywatele, trudniący się hodowlą węgorzy, byli wolni od podatków; przywileju tego używali również strzelcy z powołania, dostarczający na targi zwierzyny. Sybaryci nietylko potraw, ale i napojów nadużywali, a przy ucztach, co, wedle obyczaju greckiego, było najniestosowniejszą rzeczą, zasiadały i kobiety. Przyszła jednak chwila pokuty. Po dwóch wiekach nadmiaru szczęścia i bogactw, zabrakło sybarytom sił do obrony własnej. Około r. 510-go prz. Chr wybuchły w mieście rozruchy, skutkiem których stu najprzedniejszych obywateli wypędzono. Wygnańcy schronili się do sąsiedniej osady greckiej, ojczyzny atlety Milona, Krotonu, a gdy sybaryci zażądali ich wydalenia, a posłów krotońskich, przybyłych w tej sprawie do Sybaris, nielitościwie pomordowali, wybuchła wojna, której zakończeniem była zupełna zagłada Sybaris. Ta ostatnia, lubo na pozór o wiele silniejsza od Krotonu, uległa w walce, osłabiona zbytkiem. Mieszkańców zdobytej osady rozpędzono po świecie, miasto zrównano z ziemią, a wody Kratisu zalały ongi mlekiem i miodem płynącą krainę.

Wprawdzie pod nazwą Thurium koloniści ateńscy odbudowali w r. 446-ym prz. Chr. Sybaris, nieopodal starych ruin miasta, nigdy jednak nowa osada nie dorównała nawet w przybliżeniu blaskiem dawnej. Thurium w r. 194-ym prz. Chr. zdobyli rzymianie i zamienili nazwę jego na Copiae.

Obecnie rozpoczęto pracę nad odkopaniem resztek słynnej ongi osady, którą wody Kratisu po 2.000 przeszło lat pokryły warstwą mułu 5—6 metrów wysoką. Położenie miasta łatwo dało się oznaczyć po widnych dotąd śladach dawnego łożyska rzeki, zmienionego w roku 510-ym prz. Chr. przez zdobywców z Krotonu. Oczywiście, wykopaliska z Sybaris będą stanowiły wysoce cenny przyczynek w skąpych dotąd wiadomościach naszych z epoki od VIII—VI-go wieku prz. Chr.

Kokieterya — a żądza podobania się.

Podać określenie „kokieteryi" nie jest wcale łatwem; niesłusznem byłoby jednak stawiać ją na równi z „żądzą podobania się", Ta bowiem jest nałogiem i namiętnością, podczas gdy pierwsza oznacza w pewnych naturalną i miłą właściwość, której pozbawioną tylko niechętnie widzimy kobietę. Jeśli, co przyznajemy, tak kokieterya jak żądza podobania się, zbliżają się na pozór znacznie do siebie, to przecież w rzeczywistości są między niemi wybitne różnice.

Kokieterya jest niewinnem pragnieniem stania się miłą i przypodobania się, które udziela się ciału a połączone z wdziękiem i słodyczą — zachwyca. Ta chęć przypodobania się jest we wzajemnym stosunku jednostek obojga płci czemś zupełnie usprawiedliwionem i naturalnem, a nadto prawie wszyskim istotom kobiecym wrodzonem. Bardzo tylko mała ilość znajduje się wśród wielu takich, któreby się nie chciały podobać, a jeszcze mniej takich, któreby się nie chciały podobać, a jeszcze mniej takich, nie wliczając oczywiście wyjątkowych wypadków, któreby się chciały niepodobać. Która z kobiet czuje, że jej powierzchowność i cała istota wywołuje przyjemne wrażenie, usiłuje stać się sama przez się jeszcze bardziej miłą i powabną, jak jest w rzeczywistości; przez to czuje się weselszą i swobodniejszą, starając się stan taki w trwały zamienić. Że młoda jak jagódka lub kwiecie świeża dzieweczka, krasy którą posiada nie ukrywa, jest tak samo naturalnem jak to, iż róża wonieje! Posiada ona przymioty, które innych cieszyć mogą, a jeśli rozporządza dowcipem, humorem i niewymuszoną wesołością, celuje rozumem i szlachetnem sercem, to ma pełne prawo okazać to wszystko otwarcie i z prostotą stosownie do danych okoliczności. Panny i panie umieją bardzo łatwo zauważyć, że się podobają i że wolno im bez żadnej złej myśli spostrzeżeniem tem się cieszyć, bo i najpoważniejszy nawet mężczyzna będzie się wspólnie z niemi cieszyć, gdy spostrzeże, że one to robią z prostotą i otwartością, że tem nikomu nie chcą szkodzić, nikogo nie pragną przyćmić i przygasić...

Ten rodzaj kokieteryi jest ostatecznie i u mężczyzn bardzo szeroko rozpowszechnionym i posiada w życiu towarzyskiem niezaprzeczoną wartość. Dlaczegożby nie miał jeden z płci „silnej“ — chciałbym jednak wiedzieć, kto nam ten przydomek nadał, bo z pewnością nie był nadzwyczajnym znawcą ludzi — chcieć się także podobać? Jednej chce się z pewnością każdy z mężczyzn choć raz w życiu przypodobać i nic dziwnego, że wówczas starać się będzie i on, jeśli nie grzeszy nieuleczalną nieśmiałością, przedstawić swoje zewnętrzne i wewnętrzne przymioty i zalety w jak najlepszem świetle. Lecz choćby nawet i miłość, dla jednej nie miała wchodzić w grę, będzie się z pewnością ten mężczyzna bardziej podobać jak niepodobać, nie narażając przytem na szwank swej męskiej dumy. Takie pragnienie przypodobania się niema jednak nic wspólnego z ową gładką układnością, która się do wszystkiego i wszystkich zastosowuje, byleby tylko na niczem nie utknąć; ono ma swój pierwiastek w naturalnej chęci, być w pewnem kole towarzyskiem mile widzianym i przez własną uprzejmość, uprzejmość drugich ku sobie wywołać.

Jeśli to prostotą nacechowane usiłowanie przypodobania się musi pociągać ku sobie, to właściwa żądza podobania się przybiera bardzo często odpychające formy. Panie i panny próbują swą niewinną kokieteryę także i na swych towarzyszkach, natomiast zwracają żądzę podobania się tylko ku mężczyznom. Są rozmaite rodzaje tej namiętności; jedne kobiety działają zaletami rozumu i umysłu, inne zaletami ducha i serca, lecz przeważna ich ilość tylko zewnętrznymi powabami, których działanie często z najzimniejszem obliczeniem za przedmiot swych żarliwych studyów obierają. Takie kobiety nie widzą nic obok siebie, ich życie płynie, jeśli na to zezwalają stosunki, w służbie bałwochwalczej na ołtarzu własnego „ja“. W ten sposób dochodzą do doskonałości, ukształtowując się niekiedy w istne arcydzieło sztuki, na którem tylko sam pierwiastek pozostaje naturalnym. wszystko zaś inne: smutek i wesołość, śmiech i łzy, milczenie i rozmowność, siedzenie i chodzenie, czuwanie i sen — jest sztucznem. Niczego nie czynią z prostotą i bez pewnej myśli, gdyż wszystko ma się podobać i dla tego już z góry jest pod skalpel zimnej rezwagi poddawane. Z połową tylko tej siły woli, jaka do takiej pracy życia jest potrzebną, mogłyby kobiety wiele wzniosłego osiągnąć.

Najwstrętniejszą jest jednak żądza podobania się, jeśli zasadza się tylko na powabach ciała. Zanim taka kobieta spostrzeże się, już zatracić zdoła nawet uczucie wrodzonej wstydliwości, byle tylko quand même zapewnić sobie ogólne podobanie. Tak zwraca się namiętność ta do pospolitych chuci mężczyzn i święci największe zwycięztwo, gdy spostrzeże w ich oczach migające ogniki zmysłowego pożądania. Zastanawiającem jest jednak, jak kobieta taka potrafi naturze swej zadać gwałt. Ma skłonność do grzeczności, lecz obawia się pełności kształtów, więc używa jazdy konnej lub forsownej przechadzek; wzdraga się przed zimną wodą, lecz kąpie się mimo to w niej, gdyż wie, że to wyjdzie na korzyść jej piękności; jest gwałtowną i porywczą, lecz powściąga gniew i opanowuje go, bo on piękności szkodzi; lubi pewne potrawy, lecz wyrzeka się ich użycia, bo psują cerę; jest zmysłową, lecz i to może wdziękom jej szkodę wyrządzić, więc pozostaje gwałtem umiarkowaną, a nawet cnotliwą z samej namiętności podobania się!

Takie kobiety są rzadko tylko z sercem, a jeśli je mają, to starają się go pozbyć. A gdy się jednak zdarzy, że owładnie niemi prawdziwa miłość, wówczas jest uczucie to dla nich w wysokim stopniu niemiłem i nie na rękę, bo robi je niespokojnemi i niepewnemi siebie. Dla nich wygodnem jest tylko wzbudzać uczucia lecz nie mieć żadnych; wszak trzeba zachować spokój, jeśli się chce pół tuzinowi mężczyzn naraz podobać w tej mierze, iżby każdy widział się odszczególnionym. Kobieta żądna ogólnego poklasku nie dozwala swym towarzyszkom nawet jednego przyjaznego spojrzenia mężczyzny, choć on sam jest jej tak obojętnym jak dzień wczorajszy, sądząc, że ma prawo żądać spojrzenia tego niepodzielnie dla siebie. Znajdując się między kobietami, potrafi być nawet niewinną, lecz niech tylko pojawi się w ich kole mężczyzna, a już staje się jednym zamachem śmiertelną nieprzyjaciółką wszystkich obecnych siostrzyc.

Taki rodzaj żądzy podobania się może rozwinąć się już bardzo wcześnie, bo nawet u dziewcząt w siódmym roku, by potem wzmagać się stopniowo. Dwunastoletni podlotek strzela zawzięcie oczkami za każdym oficerem, byle tylko być zauważanym, a piętnastówka chce już być oglądaną przez każdego spotkanego mężczyzną, zadawalniając się nawet na niewodzie

podziwiającemi ją spojrzeniami lokajów i dżokejów, jeśli obraca się w wyższych sferach towarzyskich.

Kokieterya może uczynić kobietę powabniejszą i milszą, duszy jej dodać słodyczy i wdzięku, żądza zaś podobania się, zabija prawie całą duszę kobiety, chyba że bardzo poważne koleje losu zdołają obudzić uśpione lepsze „ja“. Każdy współudział w czemś wyższem lub w życiu duchowem obumiera u niej, albo też przechodzi w estetyczną obłudę małpującą modę, jeśli ta wymaga udawania zapału dla muzyki i malarstwa, lub w ogóle innej jakiej sztuki i umiejętności.

Lecz czas mści się! Zginie bezpowrotnie piękna powierzchowność, mimo wszystkie sztuczki tualetowe, a wówczas pozostaną męty w kielichu życia, który musi być do dna wychylonym. Czyż takie kobiety nie są wtedy nieszczęśliwe? Nie szczędziły niczego w dniach młodości, nie zachowały sobie ciepła i słodyczy serca i umysłu, więc muszą potem marznąć; stają się nienawidzącemi, złośliwemi i goniącemi za plotkami, byle na każdym znaleźć plamę lub każdemu łatkę przyczepić, — aż stojąc samotnie wśród społeczeństwa zamarzną od tego wiecznego chłodu i lodu! X.

„Złoty kołnierz“

Szkic z bruku lwowskiego.

W handelku smutno było.

Na bruku lwowskim rozkosz, raj—upojenie.

Pierwsza tchnienie wiosny jakby różczką czarodziejską rzucało blaski nawet na zwiędłe twarze naszych lowelasów, a kobiety wszystkie w tym dniu powinny były być umieszczone w „albumie lwowskich piękności“...

Cóż dopiero powiedzieć o naszych dzielnych synach „Marsa“? Ich spojrzenia jak granaty padały w serca nadobnej płci rozmaitego wyznania.

Studenci, zakochane gogątka, urzędnicy rozmaitych towarzystw z ograniczoną i nieograniczoną poręką, tak zwani bankowcy, adwokaci, wszyscy byli piękni i zalotni.

Nawet historycznie brzydkie dziewczęta sprzedające fijołki pierwszy raz od roku—były umyte.

Wszyscy byli piękni i szczęśliwi.

Wszyscy!

Tylko pan radca siedział w handelku i był smutny; nic nie wiedział, nic nie słyszał; na ospowatej twarzy dwie łzy przyschnięte skarżyły się, że w sercu jego ciężka niedola.

W handelku cisza była, wielka cisza...

Chłopak świecący jak patelnia drzemał. Nagle jak grosz do pustej skarbonki wrzucony — wpadł do handelku młodzieniec.

— Całuję rączki, zawołał chłopak.

— Nie całuj tylko dawaj koniaku.

— Jeszcze jeden — tylko żywo — nie mam czasu — i gwiznąwszy wesołą piosnkę, obrócił się na pięcie.

Pan radca podniósł głowę.

— Co widzę! Antoś! Jak się masz. Ty pijesz koniaki takiemi kieliszkami.

— To pierwszy raz w mojem życiu, jak Boga kocham. — Dzisiaj tak jestem szczęśliwy... tak jestem szczęśliwy...

Panie radco zdałem wszystkie egzamina! wszystkie!!!

— Tam do kata — to bardzo ładnie.

Widocznie ciężko pracowałeś — twarz ci pobladła tylko oczy jeszcze jak pochodnie płoną. Cieszę się że cię widzę — siadaj — tu przy mnie — napijemy się lampkę wina.

— Z ochotą—bo tak jestem szczęśliwy... tak szczęśliwy, oj, namordowałem się namęczyłem, dzień i noc „kułem“, dzisiaj pierwszy raz po dwudziestu latach nauki mogę odetchnąć. Zdałem wszystko, posada bądzie i moje marzenia spełnione!!

— A więc niezawodnie żenisz się?

— Tak, panie radco. Od dnia dzisiejszego za rok będę miał swoje gniazdko. Na początek pensyjka będzie skromna, ale „ona“ mnie kocha, będziemy szczęśliwi!

Pan radca zwiesił głową — wlepił w młodzieńca swe ukośne oczy i milczał — na płaski jego nos tylko łzy jak groch spadały.

— Mój Boże pan radca smutny.

Może pani dobrodziejka chora?

— Już jej lepiej... Patrz na mój kapelusz...

— Co? Czarna krepa!! Więc... więc... żona...

— Umarła!.... Sześć tygodni temu.

— Od kilku miesięcy niewychodziłem na miasto — niewiedziałem...

— Umarł mój dobry anioł

Po chwili rzekł — łagodnie:

— O tak, ożeń się, chłopcze—tylko weź sobie dobrą dziewczynę — Bo dobra żona to skarb, to szczęście.

— Panie radco ta, z którą się żenię to „uosobienie dobroci“!!

— Tylko się nie żeń tak na poczekaniu żonę trzeba sobie wychować.

— Nie miałem czasu wychowywać tej, którą poślubię — uczyłem się pracując od dziecka na kawałek chleba — ciężko, ciężko...

— Ja moją poznałem—gdy miała lat 15 — wychowałem ją sobie.

Byliśmy zawsze razem w złej i dobrej doli. Często bardzo często były sprzeczki, łzy i zazdrość...

— Przez kilka lat zawsze razem, gdy grała na fortepianie, ja wpatrzony w nuty drżącą dłonią przewracałem kartki. Czasem zmyliłem, jak Boga kocham, zagapiony w jej oczy sam nie wiedziałem, co się w około dzieje. W wolnych chwilach od mej pracy — zawsze razem...

A wiesz ty dlaczego tak bardzo kochaliśmy się — bo nigdy kłamstwem usta nasze niebyły splamione.

— O moja Dziunia także nigdy nie kłamie, to usposobienie prawdy. Ona mnie bardzo kocha.

— No i pobraliśmy się. O, jakże ona dobrą była jak dobra..

Nieraz w nocy, gdy długo pracowałem, skradała się na palcach i całując mnie, mówiła łagodnie:

Tatku, siadę przy tobie — będę dla Niusi płaszczyk robiła — dobrze — dobrze.

Pracowaliśmy całą duszą.

Pensyjka wzrastała coraz więcej, po za godzinami urzędowemi pisałem aż mnie krzyże bolały, nareszcie po 10 latach uskładała moja droga pokaźną sumkę.

Pożyczyło się trochę i na wiano dla naszych córek kupiliśmy na przedmieściu domek z ogródkiem, — mój Boże, to była radość.

— Pamiętam byłem w tym ogrodzie; pani dobrodziejka ślicznemi truskawkami mnie poczęstowała.

— Ej, co tam maliny, truskawki; żebyś ty widział, jakie ona wyhodowała szparagi, palce lizać!

U nas w domu obiad — to święto; gdyśmy razem usiedli z dziećmi do stołu, to rozkosz. Przy stole zawsze układaliśmy cały rozdział pracy na drugi dzień. Słuchaj no, chłopcze. daj nam jeszcze pół buteleczki.

— Panie radco. nigdy nie piję wiele, więc lękam się...

— Nie obawiaj się — odprowadzę cię do twego pomieszkania — ja do domu nie wrócę. I na co? Ażeby z każdego kąta — ona mówiła do mnie. Tatku chodźmy na spacer — tatku siądź przy mnie — o, tutaj blizko, pożałuj mnie.

Na całem przedmieściu kochali ją wszyscy bo wzorem była matki i żony.

— O i moja Dziunia będzie wzorem!!

— I dobrze nam było na przedmieściu, cicho, spokojnie i błogo; u was na tym bruku miasta za wiele hałasu. Sześciu chłopaków, czternastu dziewcząt była chrzestną matką.

Raz w roku urządzała chrześniakom „balik“; o mój drogi, gdybyś ty widział ją w gronie tych dzieci. Powiadam ci grała na fortepianie, spiewała, tańczyła — a dzieci usmarowane masłem, powidłami o twarzyczkach różowych, jak wschodzące słońce. pieściły ją, tuliły się, całowały potem krzyk. płacz nie chciały powrócić do domu.

— O, moja Dziunia będzie dobrą matką! Ona mnie bardzo kocha.

— Czyż mogę ci powiedzieć, jaką była matką dla swoich dzieci. Ta miłość ją zabiła.

Rok temu Niunia zachorowała niebezpiecznie — lekarze stracili nadzieję. Dzień i noc czuwała przy jej łóżeczku. Nieraz mówię: Moje dziecko, moja duszo, ja czuwać będę. Z uśmiechem błogiej radości, szeptała schylona nad dziecięciem:

O, nie tatku — to moja rzecz, nie zabieraj mi tego szczęścia.

Pewnej nocy pisałem w drugim pokoju, nagle słysze głośne łkanie. Co się stało?

Tatku — Tatku Niunia umrze... patrz... patrz, jak sine ma pręgi pod oczętami. Matko Boża.

Zimny pot na skroni. Matko Boża! oddech niknie...

Uspokój się; tak źle nie jest, biegnę po doktora.

Po mojem odejściu, widząc Niunię jeszcze bledszą, wołając na ulicy: Matko Boża ratuj, ratuj, ocal mi dziecię... biegła go lekarza w którego jedynie wierzyła.

Kobiety, gdy wierzą komu, to całą duszą.

Bez kapelusza w cienkim szlafroczku, błędnemi oczyma szukając domu lekarza, nic nie widziała, nie czuła nawet, że zimne marcowe powietrze owiało ją, pot na skroniach stygnął. Muszę ocalić dziecię— mówiła przez całą drogę, muszę.

Uratowała dziecię, lecz sama wkrótce zwaliła się na łoże i tak powoli gasnąc...

Tu zapłakał pan radca nie mógł więcej mówić...

— Przed śmiercią o wszystkiem myślała, a kiedy nie mogła już mówić, pisała na karteczkach. Patrz tę małą karteczkę pisała na 24 godzin przed śmiercią. To mówiąc, wyjął z pugilaresu zwitek papieru. Patrz ręka biedaczce drżała, litery niedokończone... Ko-c-h-any ta-tu-siu. Leizerowa winna nam 30 florenów. Watentowej na leży się 10 fl. za kalafiory... od Piwońskiej 3 fl. Niunię ucałuj, jutro bądź w kościele módl się o łaskę w mem cierpieniu... A to ostatnia karteczka. Spojrzyj, połowy wyrazów brakuje „niech cię... Bóg błogo. . żegnam... was... Ucałuj ostatni raz mnie... Kocham bardzo Amen...“

Antoś zamyślił się głęboko, radca milczał. Na ulicach gwar ustał.

— I pomyśl, zaledwie 6 tygodni upłynęło, gdy pochowałem taką dobra, świętą kobietę, ludzie podli już na kopy posyłają mi listy z propozycjami, abym się żenił. O podli. podli, nawet boleści uszanować nie mogą.

Patrz, tu pisze jeden początkujący mecenas, że jeżeli mu dam 5 procent to mi da pannę z 10 tysiącami. A tu pisze mi jedna wdówka znam ją z widzenia, — gdy mężczyznę zobaczy, to jej o mało oczy nie wybiegną.

— O moja Dziunia nie strzela oczami, to anioł dobroci!

— A tu pisze mi jakaś panna nie znam jej, pisze mi, że znając mój charakter, dobroć, poczciwość, chętnie mi odda swoją rękę. O, patrz: niebieską wstążeczką związane swe włosy mi posyła; wiem; co to znaczy; ona dla złotego kołnierza mojego tak bezwstydna. Tak, tak chłopcze są jeszcze niektóre panny na bruku lwowskim co dla złotego kołnierza duszę i ciało sprzedadzą.

— Być może, ale moja Dziunia to uosobienie dobroci, to anioł!!

— A tu spojrzyj jej fotografia.

— Co? Co? Co? Ta panna posłała panu radcy fotografię? To być nie może! To potwarz!!

— Ale, jak Boga kocham, mówię ci prawdę. Spojrzyj to jej list...

— Jezus Marja!! To pismo mojej Dziuni. Jezus Marja i Antoś runął na podłogę.

— Antosiu opamiętaj się. Co tobie na Boga!!

Antoś blady jak płótno wybiegł na ulicę. Straszna to rzecz utracić wiarę. Nad ranem zawlókł się na łoże. Miał sen cudowny. — Śniło mu się że miał na sobie mundur z wielkim złotym kołnierzem, cały lśnił od złota, kołnierz rósł... rósł... w niebo, a cały świat zginął przed złotym jego kołnierzem. Sam, sam; na świecie tylko dwie istoty zostały mu wierne gorączka zwiastun ciężkiej choroby, i stara Mikołajowa posługaczka.

Biedna kobieta pojąć nie może, dla czego pani starsza po nocy płacze i woła: Złoty kołnierz! Złoty kołnierz!!! No — a Dziunia! Powiada, że Antoś już teraz wyłysiał, schudł, brzydki.

E, co tam wiele mówić. Dziunia to anioł dobroci!!!

A. Walewski.